

Ricdin Ricdon – Baśń utkana w teatrze

Recenzja spektaklu wyreżyserowanego przez Ilkę Schönbein

Dawno, dawno temu żył sobie młynarz, który pochwalił się królowi, że jego córka umie prząć złoto.

Kolejne przedstawienie XXVIII Międzynarodowego Festiwalu Teatru Lalek *Spotkania* wprowadziło mnie w stan absolutnego zadziwienia i zachwytu. Byłam świadkiem tego, jak dwie artystki, Pauline Drünert i Alexandra Lupidi, ożywiły na scenie trochę zapomnianą w Polsce baśń braci Grimm *Rumpelstiltskin*, znaną też pod nazwami *Titelitury* i *Ricdin Ricdon*. W interpretacji Ilki Schönbein opowieść zamieniła się w czyste złoto. Artystka wzbogaciła ją bowiem o refleksję dotyczącą istoty samej sztuki.

Od pierwszego momentu przedstawienia dało się wyczuć, że przeniesie nas ono do zupełnie innej rzeczywistości, gdzie forma i materia wymykają się spod granic ludzkiego pojmowania. Na scenie panował tajemniczy półmrok, bardzo charakterystyczny dla atmosfery baśni braci Grimm. Scenografia była bardzo oszczędna – z prawej strony sceny znajdowało się niewielkie stanowisko muzyczne, a w nim mikrofon, melodyka, altówka i rozmaite przedmioty służące do tworzenia oprawy muzycznej przedstawienia. Po lewej stronie, na podwyższeniu, siedział król w złotej koronie. W momencie, kiedy zobaczyłam jego znudzoną twarz wstrzymałam oddech. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałam, że to nie było ciało aktorki, a maska, która nagle została zdjęta i użyta jako lalka. A był to dopiero początek tego pełnego iluzji spektaklu.

***Zachłanny król zamknął dziewczynę w wieży i zagroził, że ją zabije, jeśli do świtu nie utka mu złota.
Córka młynarza, nie wiedząc co robić, musiała poprosić o pomoc tajemniczego, sprytnego karta.***

Pauline wcieliła się we wszystkie postaci baśni. Pomagały jej w tym liczne lalki, które pojawiały się znikąd i współ-opowiadały teatralną opowieść. Trudno je było przypisać do jakiegokolwiek lalkarskiej kategorii. W niczym nie przypominały ludzkich kształtów, były zupełnie nowymi formami stworzonymi w niespokojnej wyobraźni Ilki. Aktorka zamieniała się w młynarkę wyjmując spod kaptura dwa złote warkocze. Stary ojciec wyłaniał się z fragmentu szaty. Jego głowa była kolanem Pauline. Nie miał rąk ani nóg, jedynie ciało niepodlegające żadnym prawom anatomii. Twarz króla raz była maską, a raz czymś na kształt pacynki zakładanej na dłoń. Jego szyja rosła do nienaturalnych rozmiarów, gdy artystka podnosiła rękę. Najdziwniejszy był przypominający białego pajaka karzeł – którego odnóża raz były pazurami ogromnej łapy, a raz zdeformowanymi nóżkami. Wszystkie te postaci nie wpisywały się w naszą rzeczywistość. Odsyłały nas do baśniowej atmosfery.

Kiedy Pauline występowała, Alexandra była narratorką całego przedstawienia. Snuła swoją opowieść niczym trubadur, przygrywając na różnych instrumentach. Śpiewała, podkładała głosy pod lalki i tworzyła efekty dźwiękowe. Ku uciesze widowni, perfekcyjnie naśladowała płacz dziecka, turkot kołowrotka i świst spadających przedmiotów. Byłam naprawdę zachwycona jej sztuką. W napięciu śledziłam dalszy ciąg opowieści.

Córka młynarza nie miała czego mu oddać za przysługę, więc poprosił o jej pierworodne dziecko. Przyparta do muru dziewczyna zgodziła się. Gdy utkała złoto ze słomy, król pojął ją za żonę.

Ilka uważa, że każdy artysta, podobnie jak córka młynarza, w pewnym momencie życia jest zmuszony, żeby utkać złoto z niczego. Pytanie tylko, czy będzie gotowy zapłacić za to odpowiednią cenę. Dylemat bohaterki, nierealistyczne oczekiwania i strach spowodowany presją czasu zostały świetnie pokazane na scenie.

Proces przędzenia złota, a więc tworzenia *opus magnum*, przykuwa szczególną uwagę w tym przedstawieniu. Zaciekało mnie użycie zwykłego parasola do przedstawienia kołowrotka. Kręcenie nim świetnie oddawało proces przędzenia. Rekwizyt był opleciony pajęczyną Rumpelstiltskina. Spektakl zupełnie redefiniował kształty materii z najbliższego otoczenia.

Warto docenić również wspaniałą reżyserię światła. Była oszczędna, ale bardzo efektywna. Cały czas trzymała widza w mrocznej atmosferze baśni. Dzięki pomysłom Anji Schimanski iluzja teatralna sprawiła, że odpowiednie światło pokryło cały parasol czystym złotem. Córka młynarza nareszcie była wolna. Oczywiście, do czasu.

Rok później przyszło na świat jej pierwsze dziecko i karzeł upomniał się o nie. Widząc zrozpaczenie matki, zgodził się odstąpić od umowy, ale tylko pod warunkiem, że kobieta odgadnie jego imię. Królowa kazała szukać wieści w całym królestwie.

Bardzo zaimponował mi moment, w którym aktorki chodziły po widowni, żeby pytać ludzi, jak może mieć na imię karzeł. „Kuba” – padło do mikrofonu. „Drakula” – dodał ktoś inny. „Pikatchu?” – spytała ostatnia osoba.

Artystki przez cały czas trwania przedstawienia miały świetny kontakt z publicznością. Warto to odnotować, zwłaszcza dlatego, że grały w języku niemieckim, a do tego nigdy nie miały styczności z językiem polskim. Mimo to niezwykle łatwo było nadążać za akcją przedstawienia.

Alexandra nauczyła się szybko paru polskich słów, które wrzuciła między swoje kwestie. Widownia czasem odpowiadała jej po niemiecku. Między występującymi a oglądającymi nawiązała się niezwykła więź, którą trudno jest stworzyć w teatrze.

W końcu ktoś usłyszał, jak karzeł wyśpiewuje swoje imię: „Rumpelstiltskin”. Znając je, królowa mogła zachować swoje dziecko, a karzeł pękł na dwoje.

Baśń skończyła się rozdarciem Rumpelstiltskina. Po westchnieniu zaskoczonej widowni, pozostały tylko bardzo długie oklaski, które przeciągnęły się do tego stopnia, że skłoniły artystki do chwili rozmowy z widzami.

Reżyserka spektaklu, Ilka Schönbein, jest niemiecką lalkarką, która wraz ze swoją grupą podróżuje po festiwalach całej Europy (najczęściej bywa we Francji i w Niemczech). Studiowała rytmikę taneczną w Paryżu, gdzie Rudolf Steiner uczył ją swojej techniki tanecznego połączenia duszy z ciałem. Występując sama, Ilka używa technik przemieniania swego ciała, łącząc je z materią nieożywioną. Używając lalek i masek daje zupełnie nowe życie swoim postaciom. Wpływ na jej sztukę mają wspomnienia zagłady narodu żydowskiego.

Barbara Lewińska